

GENEWA.

Ogrom nieszczęścia, jaki zważył się na Europę w postaci wielkiej wojny 1914 roku — natchnął Wilsona, szlachetnego prezydenta St. Zjednoczonych Ameryki — do wysunięcia projektu utworzenia ligi narodów, jako wielkiego międzynarodowego trybunału i regulatora stosunków między mocarstwami, które wczoraj jeszcze dokonywały sobie straszliwego upustu krwi, na zrywając wszelkie umowy „papierkami bez wartości” (Niemcy), a potem miały do rozwiązania sprawę utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy.

Dzisiaj liga narodów, które ogniem i mieczem musiały ustalić nową kartę dziejów, usiłuje rozwiązać 3 zasadnicze zagadnienia:

- 1) rozbrojenie,
- 2) gwarancje bezpieczeństwa,
- 3) arbitraż.

Pierwsze z nich — rozbrojenie — jest tą kwadraturą koła, której nie sposób było rozwiązać od początku historii świata, trzymającego w jednej ręce różdżkę oliwną, a w drugiej — taki czy inny nóż, który podnoszono w kierunku nieba, aby Bóg błogosławił. I ponieważ każdy o jednakowe błogosławieństwo pięknie prosił — więc nie było w kłopotcie: komu błogosławić? — a ziemia zawsze była uirabowana na czerwono. Jednak kultura zmierza ku temu, aby walkę zbrojną zamienić na walkę umysłową, z dodatkiem fizycznego surrogatu w postaci sportu. I ten wysiłek kulturalny liga bierze na swe barki, starając się o znalezienie środków do zażegnania burzy wojennej.

Główne role w akcji ligi grają Mac Donald i Herriot, przedstawiciele dwu potęg europejskich, których zdanie waży najwięcej na wagach wręczanych bogini sprawiedliwości. Daleko mniej świat dzisiejszy interesuje się tem, co powie na forum ligi np. Danja, kraj, który projekt rozbrojeniowy zaczyna u siebie wprowadzać w życie. Więcej natomiast liczą się z mową premera Anglii i Francji.

Jest to zrozumiałe i zarazem potwierdzające zasadę, która głosi, że im kto silniejszy — tem więcej ma racji i posłuchu u słabszych.

Mac Donald, o którym Lloyd George powiada, że „w ciągu siedmiu miesięcznych rządów nie miał ani jednego dnia socjalizmu” — oceniając położenie spraw wysuniętych w Genewie, orzeka:

„Żadne umowy nie są w stanie osiągnąć celu, jeśli temu nie odpowiadają stosunki rzeczywiste pomiędzy poszczególnymi państwami. Minie wiele lat zanim ludzkość zostanie uleczona ostatecznie. Bolesnym jest, gdy trzeba stwierdzić, że właśnie po tak strasznej wojnie Europa nie zmyła z siebie hańby militarystyki”.

A więc „stosunki rzeczywiste”. Wytworzenie tych stosunków rzeczywistych jest rzeczą ogromnie trudną w ustroju, w jakim żyjemy, gdy konkurencyjna walka kapitału — w pogoni za zyskiem — zawsze pcha w jednym szeregu kupca i żołnierza na podbój. Proszę sobie wyobrazić np. takie stosunki między Polską a Niemcami, które uważają, że po przyłączeniu Górny Śląska do Polski, stracili część Vatterlandu, w czym ich niejako upewnił sam Mac Donald, który w obrocie pokrzywdzonych Niemiec posunął się tak daleko, że uchwałę ligi z roku 1921 nazwał niewłaściwą.

Albo proszę sobie dziś wyobrazić „rzeczywiste stosunki” między Polską a Rosją, która co tydzień u-

rzęda dywersje na pograniczu i manewry na Helu...

Albo „stosunki rzeczywiste” z Litwą, która perypetycznie upomina się o zwrot Wilna, urządzając gościnne występy „szaulisów” na polskiej ziemi...

Trudno sobie zatem wyobrazić te „stosunki”, które dziś wymagają zbrojnej baczności, tejsamej, co nie pozwala najkulturalniejszemu mieszkańcowi Londynu i Warszawy spać w niezamkniętym na klucz mieszkaniu, na które poluje t. zw. złodziej, t. j. ten, co ma mniej i gorzej, a chciałby mieć oduzu więcej i lepiej. Otóż dopóki ów „wielki złodziej” będzie pożądał dóbr bliźniego — niema mowy o „niezamkniętych zamkach” i o powszechnym rozbrojeniu.

Socjalista z Labour Party (tejsamej, która w 1920 roku przeciwna była dostarczeniu Polsce broni i walki z Rosją) rozumie to — i powiada: „minie wiele lat zanim ludzkość zostanie uleczona ostatecznie” — a dalej — „Europa nie zmyła z siebie hańby militarystyki”.

Jakiż stąd wniosek? Wniosek taki, że liga stara się i będzie się starać o pokój powszechny, ale nie może ręczyć za to, że pokój już będzie.

I ponieważ tak jest, liga troszczy się o arbitraż i gwarancje bezpieczeństwa.

I oto i Mac Donald i Herriot, dwaj koryfeusze i autorytety w Genewie, godzą się na punkcie stworzenia siły, która mogła zmusić innych do posłuszeństwa. Stąd arbitraż i gwarancja bezpieczeństwa, oparte o siłę ześrodkowaną w rękach „ludzi dobrej woli”.

Jeśli chodzi o Polskę — to kraj nasz, jako mocarstwo drugorzędnej siły i znaczenia, jest więcej, niż ktokolwiek, zainteresowane w pozyskaniu tej opieki ligi narodów, poszukującej siły, która nie dopuści, aby silniejszy zadawał gwałt słabszemu.

Polski minister spraw zagranicznych, Skrzyński, przemawiając w Genewie zbyt może powściągliwie a patetycznie, powiedział, że jeśli znajdzie się wola, która potrafi zapewnić poszanowanie prawu — to Polska oboma rękami podpisze się pod projektem rozbrojenia.

Biorąc atoli dzisiejszy stan Europy powojennej, tej, w imieniu której przemawiają Herriot i Mac Donald — Polska, niestety, nie może pierwszą złożyć broni — dopóty, dopóki jej sąsiedzi najbliżsi a najgroźniejsi (Niemcy i Rosja) nie przestaną powiększać swej siły zbrojnej od wschodu i zachodu. Możemy nie zbroić się więcej, niż jesteśmy zbrojni; możemy zapewnić ligę narodów, że ta armia polska, którą posiadamy, bynajmniej nie jest stworzona do podbojów — ale nie możemy złożyć broni całkowicie, nie możemy obrony kraju powierzyć obronie papieża rzymskiego, czy też sekretarza ligi p. Drumond, który m. in. nie tak dawno zapytywał najoficjalniej w świecie: jak „dawno w Polsce zniesiono nie wolnictwo?” Nie możemy rozbroić się i dlatego także, że inni sąsiedzi, bliżsi i dalsi znacznie od nas silniejsi, bynajmniej nie myślą o rozbrojeniu. Mówią jedynie i obiecują.

Czy liga narodów w tym stanie, w jakim jest obecnie, będzie mogła zagwarantować Polsce niepodległość i wolność — skoro żołnierz nasz rzuci karabin i stanie za pługiem lub w wytwórni zabawek dla dzieci? Czy sprawiedliwość międzynarodowa, ta, która przez półtora wieku patrzyła obojętnie, jak polski „sclavus saltans” brzęczał

kajdanami, zmuszony nawet do morderstwa za powodzenie gnębieli, czy ta sprawiedliwość uległa nagle takiej zmianie i dopiero po wojnie 1914 roku?

Chcemy jednak wierzyć, że tak jest, że ludzkość zaczyna się odradzać i naradzać nad sprawą rozlewu krwi.

Dzisiejsza Genewa może odegrać dużą rolę i stać się moralną stolicą świata, jeśli „mężowie stanu” wezmą pod uwagę żądania „mężów pracy”. A ci mężowie pracy — to cały świat robotniczy, chłopcy orni, kowale i tkacze, siewcy i zmierniarze, których bierze się pod uwagę dopiero wtedy, gdy armaty potrzebują mięsa. Wtedy to „najlepiej biją króle, a najgorszej giną chłopcy”.

Jeśli liga narodów szuka siły fizycznej, która będzie zmuszać do pokoju wojownicze narody (ostatnio Włochy — Grecja, albo Francja — Niemcy z Ruhrą) — to musi oprzeć się przede wszystkim na sile moralnej, a zarazem liczebnej, — na robotniczej międzynarodowości.

Międzynarodówka mocarstwowa musi porozumieć się z międzynarodówką pracujących. Ci, co chcą rozbrajać siebie i innych, muszą to robić pospołu z tymi, co zdolni będą zatrzymać rozpędzone koło państwowe — społeczne, koleje, fabryki, pracownice, wytwórnie, przypominając posiadaczom dóbr, że: „z krwi naszej są wasze korałe”.

Powiedzą nam: ależ niema jedno litęj międzynarodówki robotniczej! — Jest ich aż trzy — i wszystkie są ze sobą w stanie wojny ideowej...

Wniosek? Należy porozumieć się ze wszystkimi trzema tak samo, jak należy wprowadzić do ligi przedstawicieli wszystkich państw nie wyłączając Rosji i Niemiec i tej ogólniej Ameryki, która niedowierzając przysyła teraz do Genewy swego „obserwatora” — w tragicomicznej, a pouczającej roli: „tak” i „nie” — i „chce się” i „nie chce się”. Tak rozumuje „bogaty wujaszek” z Ameryki, która w dalszym ciągu nie dowierza wojowniczej Europie.

Powiedzą nam: jak może osiągnąć przy jednym stole ligi pracownik (proletariusz) obok bankiera z grupy Morgana? — i jak obok ewolucyjnego Mac Donalda — wysmarowany krwią „Człowieczajki” powiedzmy, Cziczerin?

Bezspornie są to kontrasty rażące. Gdzie ich niema? Ale jeśli Genewa szuka kompromisu i środków na poparcie hasła „precz z wojną!” — to musi do stołu obrad dopuścić wszystkich przedstawiających i siłę i liczbę i wartość twórczą.

Inaczej niema mowy o arbitrażu, bezpieczeństwie i rozbrojeniu. I o dobrej woli. Bo zły jest aż nadto.

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski.

ZAKŁAD OGRODNICZY
O. Brennera

Wólczańska 130
poleca kwiaty cięte, doniczkowe
asparagusy, paprocie i t. p. Wiecej
od zł. 10. Dozór nad roślinami
pokojowymi przyjmuje — cena do umowy

Dr. med. Gustawa
Zand-Tenenbaumowa
Choroby Kobiece i Akuszeria
Wólczańska Nr. 4.
Przyjmuje od godziny 3 do 5 popołud.

Półow dzikich Kaczek na wyspie Fenö.

Na wyspie Fenö znajduje się największa w świecie stacja polowu dzikich kaczek. Istnieje takich stacji jeszcze kilka na północnych wyspach np. na Sylcie i Amrumie. Twórcą tej gałęzi przemysłu jest podobno jakiś Niemiec, który przed 80 laty założył pierwszą taką stację na Sylcie. Sposób polowu jest genialny. Łapie się dzikie kaczki za pomocą kaczek oswojonych, które z trudem zostają wyuczone sztuki zwabiania swych wolnych przyjaciół w wąskie ujścia, z których już nie mogą wyfrunąć.

Jakie to dziwne, że zwierzęta mogą być tak ludzkie!

Stacja polowu dzikich kaczek na Fenö znajduje się w środku wyspy; jedzie się do niej godzinę samochodem. Wyspa ta jest pustynią wśród wysp północnych. Niema tam piasku, ani wydm, tylko skarłowaciała roślinność, nazwana w górach kosodrzewina. Tutaj na wyspie spotykamy sosny i jodły, a czasem i drzewa liściaste o najdziwniejszych kształtach. Ani jedna gałązka nie unosi się ku górze; wszystkie pelzają po gruncie, ponieważ wiatr nachyla je ku ziemi. Wiatr huczy tu całymi dniami i nocami, wiatr słony, kryształowo czysty. W środku tej wyspy z piasku, nędznej trawki i skarłowaciałych krzaków leży oaza. Nagle, jak za dotknięciem różdżki, oczom wędrówca ukazują się przecudna roślinność: wysokie buki i akacje, kwitnące krzaki malin i porzeczek i polowe kwiaty. Wiatr ginie i nie przenika bowiem przez gęste listowie. Nagle człowiek znajduje się w królestwie ciszy. Ale wszystkie te drzewa, krzaki, trawa, kwiaty i krzaki malin są tu sztucznie zasadzone i hodowane. Stanowią one sztuczną przynętę dla dzikich kaczek. Pośrodku oazy znajduje się mały, sztuczny staw. Od tego okragłego, idyllicznego stawu rozchodzi się osiem kanałów; są one zlekka pokryte trawą i sitowiem. Ujścia ich są bardzo szerokie; wygląda to tak, jakby te powabne zakręty były przedłużeniem stawu.

Właścicielem oazy jest zgarbiony, brązowy człowieczek z typową morską bródką, która rozchodzi się aż na szczęki, jak złe przyłone charakterystyczne teatralne. Gdzieś tam w głębi twarzy świecą zadowolone oczki. Usta wciąż się poruszają, ich właściciel sse gumę. Żona jego wygląda tak, jak on, tylko jest trochę okraglejsza. Głównym jej zajęciem jest przygotowywanie marmolady. Człowieczek ten mówi monotonnym głosem; tylko od czasu do czasu otwiera usta, aby wpuścić gumę. Uprawia swój przemysł od wielu lat. Czy jest to dobry interes? Owszem, iakoś idzie, ale z wielkimi trudnościami. Półow trwa tylko przez trzy miesiące: sierpień, wrzesień i październik. Przez pozostałą część roku nie pojawia się ani jedna dzika kaczka.

Ale w trakcie tych trzech miesięcy zdarzają się dnie, podczas których topi się do 500 sztuk. Przeciętnie podczas sezonu stacja zdobywa 100 do 200 kaczek dziennie. — A jak idzie sprzedaż? — Ma on odbiorców w całej Danii, ale i w większych sklepach w Niemczech. Za sztukę płać 75 oerów. — Zaczynam liczyć: sezon trwa 90 dni, przeciętnie dziennie 150 kaczek po 75 oerów — wynosi 112 koron. Znaczący to, że zarabia on w ciągu 90 dni około 10,000 koron.

Począwszy człowieczek w stronę małego, drewnianego baraku, który cały wypełniony jest czworokątnymi kanałami z torfu. Bierze kawałek torfu i zapala. Śmierzący dym. — Czy pan chce nas uwiedzić? — Nie, ale tak należy postępować. Kaczki mają bowiem szalenie czuły węch. Czują one ludzi. Dym torfowy neutralizuje zupełnie zapach ludzkiego ciała.

Niech pan poczeka, za 40 minut rozpocznie się polowanie!

Okropny, gryzący dym. Ukrywamy się w pobliżu stawu, pod gęstymi krzakami. Na stawie pływało 10 — 12 kaczek. Były to kaczki oswojone. Niektóre z nich miały lekko podcięte skrzydła. Były one tak tresowane, że przyfrunęły do brzegu i tam czekały, aż zostały zauważone przez dzikie kaczki. Wówczas fruwały razem z nimi z powrotem na staw. Prawdopodobnie kwacząc opowiadały dzikim towarzyszkom, że znalazły miejsce, w którym można znaleźć wspaniałe przysmaki. Po półgodzinnym oczekiwaniu, przyfrunęło całe stado kaczek. Wydawały się małymi, czarnymi punktami w powietrzu, poczem zresztą bardzo szybko opadły na wodę. Cały staw zaludnił się szaro-białymi dzikimi kaczkami.

Teraz miały odegrać swoją rolę kaczki oswojone, które nie odfrunęły na brzeg. Powoli skierowały się w stronę osmiu kanałów, a za nimi płynęły ich współtowarzyszki. Wszystko to odbywało się bardzo ostrożnie. Niektóre zatrzymywały się, płynęły kawałek z powrotem i nurkowały. Jednak w końcu staw opustoszał, wszystkie kaczki znalazły się w kanałach.

Kanały mają około 40 metrów długości, zewężają się coraz bardziej, niepostrzeżenie dla małych, dzikich kaczek. Obydwa brzegi są porośnięte wysoką trzcina. Wszystko to wygląda zupełnie naturalnie. Lecz na wysokości dwóch metrów nad kanałami porzeczek ciągną się cienkie siatki o drobniutkich oczkach. Siatki zniżają się i w końcu, tam, gdzie kanały mają tylko kilka centymetrów szerokości, są one rozciągnięte już tylko o kilka centymetrów nad wodą. Węzienie. Ucieczka jest niemożliwa. Dzikie kaczki widzą niebezpieczeństwo, ale już jest zapóźno. Przestraszone chcą odfrunąć w górę. Lecz, niestety, niebo jest odgradzone siatką. Dzikie bijąc skrzydłami, płyną do brzegu, aby ratować się ucieczką w trzciny. Ale i za trzcina sterczą groźne zapory drewniane, pokryte siatką. Może więc kanał ma jakiś koniec! Całkiem przestraszone płyną więc dalej, rozglądając się strwożonymi czarnymi oczkami. Teraz już wszystko skończono. Siatka zamyka się nad nimi.

Ucieczka w tył jest również niemożliwa, bo jakby z wody wyrósł za nimi drewniany zapór. W górze błyszczą niebo, małe białe punkciki — to mowy, wesoło trzepoczące się w powietrzu. Z boku widać trzciny, a tu jest woda. Ale wszystko to jest nieskończenie daleko. Siatka nie pozwoliła wymknąć się ani jednej kaczce.

Szybko człowieczek do pierwszego kanału. Po sekundzie już wie, że jest tam 26 kaczek, w tem dwie oswojone. Oszukane kaczki nie napadają na jego małe pomocnice, które je zdradziły, prawdopodobnie nie widzą, że stały oszukane. Człowieczek zaś człapie do drugiego kanału, a potem do trzeciego. Jak te małe zwierzątka dziko biją skrzydłami. Jak głośno krzyczą, uderzając łebkami o siatkę.

Pożegnaliśmy się szybko, bo to co potem następuje, jest straszne. Ów człowieczek pozwala im jeszcze się trochę pomęczyć, aż wreszcie śmiertelnie znużone, opuszczają głowy. Wówczas zarzyna je. Na tem kończy się dzień zbrodni pracy.

Radośnie płyną znowu oswojone kaczki po idyllicznym stawie. Człowieczek zabiera się do żucia nowego kawałka gumy. Żona miesza marmoladę. Oazy błyszczą w promieniach słońca cienkie w przestworzach przerażenie krzyczą mowy.

H. Pol.

GO DZIEŃ NIESIE?

WRZESIEŃ

11

Czwartek

Dziś: Prota i Jacka.
Jutro: Gwidona.Wschód s. o g. 5.02
Zachód s. o g. 6.02
Wschód ks. 5.21, pp.
Zachód ks. 0.00
Dług. dnia 15 g. 10 m.
Ubyło dnia 5 g. 11 m.

Dzisiejsze widowiska.

„Teatr Miejski”:

„Słuby panieńskie” (Premjera)

„Casino”:

„Romans królewski”.

„Odeon”:

„Mały grajek”.

„Luna”:

„W kajdanach małżeństwa”.

„Grand - Kino”:

„Tajemnicze małżeństwo”.

Kino współdz. pracown.
państwowych:

„Precz z Mężczyznami”.

„Nowości”:

„Człowiek czynu”.

HUMOR.

(Z fiki profesora F. Malperna).

Na ulicy (podczas deszczu).

— Czy mogę pani ofiarować parasol?
— Jeżeli to panu sprawi przyjemność, owszem. Stoimy właśnie przed sklepem z parasolami.

Dowód.

Sędzia śledczy (do policjanta). — A jakże dowód, że sprawdzony jest tym morderca, którego poszukujemy?
— Wszystkiemu zaprzecza, panie sędzio, a to jest zawsze podejrzane!

Spryciarz.

— Pożycz mi pan 20 zł. do jutra!
— Nie mam przy sobie.
— A w domu?
— W domu? Dziękuję, wszyscy zdrowi!Hurtownicy Łódzcy
władz się nie boją!Tak twierdzą, ci którzy
najlepiej ich znają.Spekuluje się nawet
na nędzy!

Bieda ogólna, spowodowana zastojem gospodarczym i redukcją, skłania wielu palaczy do nabywania najtańszych gatunków. To też cieszą się teraz wielkim popytem groszowe papierosy monopolowe „Wanda” — 20 sztuk za 20 groszy. Wczoraj prawie, że znikły one z handlu detalicznego. Niektórzy handlarze uliczni - inwalidzi sprzedawali je jeszcze, ale pobierali po 5 groszy ponad ustanowioną cenę, tłumacząc, że z winy hurtowników muszą sami płacić wyznaczoną cenę detaliczną. Na uwagę, że w takim razie należy się zwrócić do władz, aby wkroczyły przeciw hurtownikom - spekulantom, odpowiadano: hurtownicy nie boją się władz.

Ponieważ te skargi na hurtowników powtarzają się ciągle i ponieważ detaliczni twierdzą, że hurtownicy posiadają jeszcze duże zapasy wyrobów fabryk prywatnych, lecz nie puszczają ich na rynek w sposób normalny, t. j. za pośrednictwem detalistów, lecz za pośrednictwem swoich zaufanych pokatnych handlarzy, staje się obowiązkiem władz powołać ich zbadać tą sprawę i to jaknajrychlej.

Bezczynność władz i obserwowanie z założonymi rękami jak panoszą się wyzysk i lichwa, dochodzącego do tego, że pobiera się już 100 procent ponad cenę ustaloną za wyroby fabryk prywatnych, potwierdza tylko utrzymującą się ciągle jeszcze opinia, że władze nasze nie posiadają najmniejszego wyrobienia obywatelskiego i poczucia swych wobec ludności obowiązków i że urzędy swoje traktują w sposób czysto biurokratyczny.

„To, co najważniejsze”.

Przed sesją rady miejskiej.

Od dziś za tydzień, (o ile gmach rady miejskiej zostanie na czas od świętów), po długich, a tak do brze zasłużonych wywczasach — zbiorą się poraz pierwszy suwereni miejscy.

Prace parlamentu miejskiego wkroczą na tory realnych wysiłków, a od pewnych czynników zależnych tylko będzie, czy wysiłki te będą planowe i owocne, czy też będziemy znowu świadkami częściej, jałowej gadaniny i wybuchających od czasu do czasu skandalów.

To też rzeczą przyjdzie rady i przywódców frakcji radzieckich, reprezentowanych w konwencie senjorów — będzie ustalenie ściśle wytkniętego programu prac, na bieżącą sesję, tak, aby wszystkie sprawy uszeregowane zostały według pewnego planu, przyczem kwestie ważniejsze winny być wysunięte, oczywiście, na plan pierwszy.

Z drugiej strony i opozycja winna wystąpić z pewnym jednolitym planem, ustalonym po wspólnym porozumieniu tych grup, których współpraca, lub choćby nawiązanie kontaktu na terenie rady byłoby możliwe.

Program prac ustalony w ten sposób, mógłby jeszcze ulec pewnym korektynom i zmianom, ale bądź co bądź, nie mogłoby w nim być usunięte na plan drugi, lub zgola wyeliminowane najżywniejsze sprawy, dotyczące interesów miasta.

Do tych spraw naszym zdaniem należy budżet komunalny, który, jak wynika nawet z oświadczenia prezesa rady miejskiej, nie jest realny.

Nie pomogą tu żadne wyjaśnienia i enuncjacje magistratu, który stwierdza, że na wszelkie wydatki znaleźć się musi źródło pokrycia.

Już przed dyskusją nad budżetem wskazywaliśmy na tem miejscu, że wykazana nadwyżka 1400 złotych jest fikcją, a rzekoma równowaga budżetu została osiągnięta w ten sam sposób, w jaki w swoim czasie min. Kucharski zamierzał przeprowadzić sanację skarbu: poprostu automatycznie poobcinano pewne pozycje w dziale wydatków i w ten sposób chciano stworzyć bezwartościowe dzieło kłamstwa.

Przypomnieć też trzeba w jak ostry sposób zareagowała na taktykę większości podczas dyskusji w radzie miejskiej opozycja. Większość nie zgodziła się na żadne ustępstwa w stosunku do opozycji, nie uwzględniła żadnych poprawek i wniosków, które bądź co bądź zmierzwały do usunięcia tych błędów i braków, jakie budżet komunalny posiadał.

Zwłaszcza upośledzony został w tym budżecie dział kultury i oświaty, a już wprost na skandal zakrawała parodia „pomocy” dla L. O. F. Tym zakusom większości przeciwstawiła się opozycja, ale w końcu zmuszona została brutalną i bezwzględną taktyką stosowaną względem niej do zastosowania obstrukcji parlamentarnej.

Z nieobecności opozycji na sali obrad skorzystano oczywiście skwapliwie i przez jedną noc przeforsowano najważniejsze działy budżetu komunalnego.

To też sprawa budżetu będzie się musiała znaleźć w planie prac rady podczas bieżącej sesji.

Ze sprawą budżetu łączy się ściśle sprawa finansów miejskich, które muszą ulec gruntownej reformie i sanacji.

Tutaj samorząd, a więc i rada musi się przeciwstawić akcji czynników rządowych, zmierzającej do pozbawienia gmin miejskich pew-

nych źródeł dochodu, co uniemożliwi inwestycje i utrwalenie gospodarki. Zakusy te idą zwłaszcza w kierunku zmniejszenia funduszy na szkolnictwo, przeciwko czemu należy przedsięwziąć kroki i sparałizować te poczynania.

Bezpośrednio za tą kwestią wysuwa się bolączka Łodzi — kanalizacja.

Podług oświadczeń magistratu sprawa ta, której doniosłość dla rozwoju Łodzi już dawno została przesądzona, ostatnio wkroczyła na realniejsze tory. Wszelkiego rodzaju niestety wynurzenia o budowie kanalizacji własnymi siłami, o realnem ujęciu tej kwestii i t. d. nie wychodzą poza sferę ogólników i głoślowych twierdzeń.

Ze sprawą kanalizacji łączy się integralnie kwestia stanu zdrowotności naszego miasta, który dużo pozostawia do życzenia. Świadczą o tem aż nadto wymownie dane cyfrowe wydziału statystycznego magistratu, które wskazują na stały wzrost gruźlicy i chorób wenerycznych.

Walka z gruźlicą wśród dzieci i walka z chorobami wenerycznymi musi się stać naczelnym zadaniem wydziału zdrowotności, a higienie miasta rada miejska musi poświęcić nieco więcej uwagi, niż to uczyniła podczas ubiegłej sesji.

Działalność w dziedzinie opieki społecznej musi również być intensywniejsza, a akcja ta narzuca się tu siłą rzeczy, jako wynik kryzysu przemysłowego, który dotknął Łódź.

Akcja zapomogowa musi ulec zidentyfikowaniu, a zwłaszcza chodzi tu w pierwszym rzędzie o nawiązanie ściślejszego kontaktu z władzami rządowymi celem skoordynowania wysiłków na tem polu.

Nie mniejszą uwagę będzie musiała rada miejska poświęcić sprawie szkolnictwa. Tutaj bowiem rząd nie tylko, że nie czyni, ale raczej przez cofnięcie kredytów na budowę gmachów szkolnych, przez cały szereg nierozumnych biurokratycznych zarządzeń, doprowadził do powolnego zamierania idei szkolnictwa powszechnego.

To też rada miejska musi sobie zdać sprawę z doniosłości powyższej kwestji i postawić sobie za zadanie zadośćuczynienie słusznym potrzebom kulturalno - oświatowym ludności.

Jest bowiem nie do pomyślenia, by wielki gmach nauczania powszechnego w Łodzi miał runąć dzięki nieudolnym rządcom suwerenów miejskich, grzebiąc pod swymi gruzami przyszłość kulturalną wielkiego miasta pracy.

Szlachetne wysiłki działaczy oświatowych nie mogą pójść na marne, a o tem rada miejska pamiętać musi.

Wreszcie skoro już mowa o pracy oświatowej i kulturalnej, to nie można przemilczeć kwestji gmachu teatralnego, która to sprawa utknęła na martwym punkcie i należy ją za wszelką cenę ruszyć z miejsca i przyspieszyć realizację tego planu, jak również wspomnieć należy sprawę gmachu miejskiej galerji sztuki w parku Sienkiewicza. W końcu odwieczna bolączka Łodzi — bruki, wreszcie na dalszym już nieco planie sprawa kolejki Łódź - Tomaszów, rozbudowa linii tramwajowych, a wreszcie tak bardzo palący problem mieszkaniowy.

Oto kompleks spraw najważniejszych jakie, poza kwestjami ogólniejszemi — rada miejska będzie musiała uwzględnić w samym planie, a następnie, tak czy inaczej, rozwiązać.

M. K.

FELJETON.

Zeznań pod przymusem...

Zostałem w swoim czasie zadowolony do sądu na świadka w sprawie, której do dzisiejszego dnia nie znam i, jak dobrze pójdzie, nigdy nie poznam. W dzień rozprawy leżałem chory. Sąd wyznaczył mi 25 złotych grzywny, rozumując najprawdopodobniej jak następuje:

— Jeśli możesz, bracie, chorować w Łodzi i leczyć się u tutejszych doktorów, to zapewne wytrzymały masz organizm i milijarder jesteś. Niech więc i sąd ma coś z twojego bogactwa. Płać karę, Morganie, nie udzielając pożyczek! Cóż było robić? Zapłaciłem.

Po pewnym czasie znowu wyznaczono termin. Akurat byłem w Londynie i stąd nie na rękę mi było wstępować do sądu.

Sąd, nie bez słuszności, napewno powiedział sobie w duchu:

— Masz, kochanku, funty na podróż do Londynu, to zapłacisz nowe 25 złotych kary!

I nie omylił się. Zapłaciłem święcie, nawet wraz z kosztami egzekwowania, które nie było łatwe, jak na szanującego się obywatela Łodzi w roku sanacji warunków życia przystało.

Dzisiaj o godzinie 6-ej rano zjawia się u mnie policjant. W pierwszej chwili myślałem, że zauważył na dachu piornochron i przyszedł skonfirmować szpiegowska stację radiotelegraficzną. Byłem tego niemal pewien, gdy poderżnięciem okiem spojrzał na stojącą przy oknie maszynę do szycia i stoik z konfiturami, który od biedy mógł udawać akumulatorem. Niebawem okazało się, że jest delegowany z IV komisariatu policji państwowej, który ma mnie pod przymusem dostarczyć na ową nieszczęsną rozprawę sądową.

— Panie dobry! — proszę, mrugając jednym niewypisanym okiem. — Przecież rozprawę wyznaczono na 9-tą, a pozatem, jak mi wiadomo, na wzór akademickiego kwadransa, obowiązuje sądowe półtorę godzin. Pocóż mam teraz wstawać. Ja punktualnie o wpół do dziewiątej stawie się w komisariacie.

Dobry pan, którego numeru nie pamiętam, nie zauważył, przynajmniej racie tym wywodom i odszedł. Wróciłem do łóżka. Minęło niespełna dziesięć minut (mieszkam, niestety, blisko komisariatu), gdy znowu zajął dzwonek przy drzwiach. Zjawił się znowu funkcjonariusz IV komisariatu, jednak już inny. Szybkość, z jaką pracują władze bezpieczeństwa, jest wprost niesamowita.

— Pan dyżurny przodownik rozkazał, żeby pana natychmiast sprowadzić!

Nie chciałem już perswadować. Zrozumiałem, że w komisariacie wolnych policjantów jest wielu, a roboty mało, i że wobec tego, zamiast spać, i tak będę musiał do 9-ej wciąż to samo tłumaczyć. Ubrałem się i poszedłem.

W komisariacie stawiono mnie najpierw przed oblicze dyżurnego starszego z tytułu i z wieku przodownika. Rozmowa z tym straszliwym policjantem

ŻYCIE I SĄD.

Przygotowania do eksmisji.

(f) Od dłuższego już czasu Izaak Zamski, właściciel domu przy ulicy Pomorskiej 73, żył na wojennej stopie z Rajzłą Hirs, zamieszkałą w tymże domu.

Nie było tygodnia, by wojowniczy kamienicznik nie wszczynął kłótni z Bogu ducha winną kobietą.

Dnia 14 maja 1923 roku Zamski w towarzystwie służącej swej, Aeniszki Kufel, wtargnął do mieszkania p. Hirs i wykreśliwszy jej rękę do tyłu, wyrwał jej z rąk klucz od mieszkania, którym poblił dotkliwie lokatorkę, wrywając jej przytem włosy z głowy.

Ceny miejsc w kinie oświatowym.

Na posiedzeniu w dniu 9 b. m. magistrat zatwierdził następujące ceny miejsc w miejskim kinoteatrze oświatowym:

Dla dorosłych: I miejsce — 60 gr., II miejsce — 50 gr., III miejsce 30 groszy.

Dla młodzieży: I miejsce — 20 gr., II miejsce 10 gr., III miejsce 5 groszy.

W kinie oświatowym demonstrowane będą trzy programy dzienne: 1) przed południem bezpłatne naukowe filmy dla działy szkół powszechnych; 2) od godziny 2 po południu do 6-tej wieczorem obrazy rozrywkowe dla dzieci i młodzieży; 3) od 6-tej do 10-tej wieczorem filmy dla dorosłych.

przypominała mi próby uzyskania połączenia przez telefon redakcyjny: nosił numer 199 i odpowiadał rzadko, ale za to opryskliwie. Po kilku moich pytaniach, załatwionych monosylabami, zmierzyl mnie takim wzrokiem, jakgdybym się nazywał Jack London i był poszukiwany przez dzisiejszego starostę stanisławskiego, p. Des Loges, wymienil nazwisko moje i jeszcze jakieś, do tej chwili mi nieznane, poczem rzekł:

— Odprowadź!

Było to powiedziane takim głosem, że mogło oznaczać bezterminowe więzienie, plac kaźni lub miejsce wiecznego spoczynku.

Byłem prawie, że przerażony. Jedyne dobre oczy i uśmiech policjanta, który mnie sprowadził, a do którego to słowo złowieszcze było zwrócone, uspokoiły mnie trochę.

Odprowadzono mnie do pokoju weneckiego, w którym jednak nikt doży nie przypominał, i posadżono na ławce. Obok siedziało trzech osobników, z których jeden siedział „za szkołę”, drugi za alkohol, a trzeci, w mundurze, poprosił za stołem i pisał protokół.

Po pewnym czasie zaczęli śledzić policjanci ze służby ulicznej. Prowadzili dość ożywioną rozmowę, z której przeważnie dowadywałem się przykrych lub niesamowitych rzeczy o matkach niezuanych mł. ludzi. Większość tych matek, sądząc z epitetów, nadawanych ich synom, należała do kobiet lekkiego prowadzenia, a niektóre, jeśli mnie słuch nie mylił, były, rzecz niebywała, psiego pochodzenia.

Pogawędka towarzyska, zresztą bardzo miła, trwała dość długo, zresztą wciąż na ten sam mniej więcej temat.

W domu tym mieści się szkoła. Wywnioskowałem to stąd, że w pewnej chwili przez zamknięte okno dobiegał z podwórza krzyk dzieci. Pomyślałem sobie, że czasami bywa tu prawdopodobnie odwrotnie.

O wpół do dziesiątej przydzielono mi, mówiąc stylem urzędowym, policjanta nr. 583, który odprowadził mnie do sądu, na szczęście nie okutego w kajdany. Policjant ten zrehabilitował w całości w w moich oczach opinie IV komisariatu, nadpsuta przez niesamowity nr. 199. Okazał się człowiekiem kulturalnym, rozumiejącym swoje prawa i obowiązki na równi z prawami i obowiązkami zwykłych śmiertelników, stanowiących nie-numerowany tłum.

W sądzie okazało się, że moje zeznania są dla tej tajemniczej sprawy nieistotne. Już bez przymusu pozwolono mi odejść do domu, nie odbierając zeznań.

W rzelutacie napisałem feljeton, ale wątplię, czy zastąpi mi to 55 złotych kary, nieprzespaną noc, dwugodzinne oczekiwanie w komisariacie i przykreść zawarcia znajomości z numerem, któremu brak tylko dwóch punktów do właściwej liczby.

gk.

Pilnujcie rowerów.

W dniu wczorajszym przyjechał z Rudy Pabianickiej do Łodzi na rowerze młody sportowiec Herman Oskar.

W Łodzi p. Oskar pozostawił rower przed domem (ul. Główna 52) i wszedł do sklepu. Po chwili do roweru podszedł jakiś nieznany mu osobnik, który usiłował wsiaść na maszynę i odjechać.

Na wszystkie alarm zatrzymanego go i odprowadzono do komisariatu, gdzie ustalono, że nazywa się Stanisław Zawia zamieszkały Wodny Rynek Nr. 11.

Po spisaniu protokołu sprawę skierowano do sądu.

„Menu” zoologicznego ogrodu.

Co i ile zjadają zwierzęta?

Zarząd ogrodu zoologicznego w Berlinie ma niemały kłopot z przygotowywaniem codziennego obiadu dla swej zwierzęcej cztery. Apetyty różnych zwierząt są tak różne, a gusta tak odmienne, że „kuchnia” ogrodu zoologicznego nielada starań dołożyć musi, aby zaspokoić upodobania każdego swego pupilka.

Co i ile jadają poszczególne zwierzęta? Przypatrzmy się „menu” co do codziennemu berlińskiego „Zoo”.

Otóż czterech dorosłych mężczyzn nie skonsument tego, co zjada lew. Codzienna porcja króla zwierząt wyraża się w

5—7 kg. surowego mięsa.

Inne drapieżniki zadawałają się znacznie mniejszymi racjami. A więc leopold — 3 do 4 kg., dziki kot abisyński Mungo, tylko 1 kg., hyena zjada normalnie 2 i pół kg., szakal do 2 kg., lis 1 — 1 i pół kg. mięsa surowego.

Stosunkowo niewielki apetyt ma wilk, poprzestając na 2 kg. mięsa maksimum.

Ogromnie niejednolitym apetytem odznacza się biały niedźwiedź polarny; czasem tylko 2 kg., a czasem aż 4 kg. mięsa.

Chleba zwierzę to nie lubi. Wielce urozmaicone jest „menu” mały.

Na śniadanie zupa mączna na mleku, dobrze osłodzona, a dla nie których gatunków nawet surowe jaja.

Są jednak rodzaje mały, dla których największy przysmak stanowi świeżo bity jaskółki.

Szympanś jada to samo co człowiek: mleko, chleb, mięso i dużo owoców. Wszystkie mały, prócz śniadania, niedostają w ciągu dnia więcej; korzystają z nich przysmaków, rzucanych im przez publiczność.

Lew morski jada tyleż, co i król puszczy, jednakże zamiast mięsa — ryby.

Antylopy, kozy, owce, lamy i wielbłądy jadają najchętniej trawę, siano, a do tego pewną ilość „safaty” z buraków cukrowych.

Wielbłąd potrzebuje do 15 kg. siana lub do 20 kg. trawy codziennie, zakrapiając ją 3—5 kubelkami wody.

Wszystkie zaś zwierzęta raciczne lubią szalenie sól.

Nienasyconym jest słoń. Olbrzym ten zjada

codziennie 10 kg. buraków, do 8 kg. otrąb, tyleż owsa, 3 bochenki chleba, centnar siana, a do tego 8 12 kubłów wody.

Zato przysłowiowy żółądek strusia daleki od przeżucia takich ilości jada.

Mały kolibr przepada za mieszaniną mleka skondensowanego, miodu pszczołowego i maki.

Wszystkie ptaki drapieżne, dla wzmocnienia piór, spożywają, obok innych specjalów, także nieco mięsa, najchętniej szczurów i świnek morskich.

Olbrzymie węże jedzą obiad tylko 8 do 12 razy w roku. Składa się on jednak zawsze z niedużej świni lub 8 — 9 królików.

Olbrzymi pomnik.

W stanie Georgii, w pobliżu miasta Atlanta, powstaje oryginalny pomnik na cześć wodza armii stanów południowych w czasie wojny secesyjnej: generała Lee.

Pomnik ten, wykonywany przez jego projektodawcę, artystę rzeźbiarza, Gotzuma Borghuma, jest olbrzymią płaskorzeźbą, wykutą w skale granitowej, wysokości kilkuset stóp.

Obecnie, gdy już usunięto z powierzchni skały 815 tonn granitu, zaczynają wylinać się szczegóły płaskorzeźby. Głowa generała Lee jest już niemal skończona, o wiel-

kości jej daje pojęcie choćby to, że na wywiniecie rondzie kapelusza wodza może pomieścić się wygodnie dwadzieścia osób.

Sama zaś głowa generała zajmuje powierzchnię 30 meirów kwadratowych.

Łeb konia, na którym jedzie, towarzyszy generałowi Lee, prezydent Stanów południowych, Davis, mierzy,

od wierzchołka ucha do nozdrzy, 50 stóp, t. j. tyle, co dom trzydzięciotowy, wzdłuż zaś grzbietu tego konia mogłoby zasiąść wygodnie do obiadu 120 osób.

Oryginalne lekarstwo na katar.

Podczas badań nad gazami trującymi i środkami, neutralizującymi ich działalność, przeprowadzanych przez wydział chemiczny amerykańskiego ministerstwa wojny, okazało się, że

chlor, ów gaz, wywołujący gwałtowny kaszel, łzawienie, niebezpieczną opuchliznę błon śluzowych krtani i wreszcie zupełne wyczerpanie, mogące zakończyć się śmiercią, jest w stanie rozcieńczonym znakomitym środkiem przeciwko początkom t. zw. zaziębienia, a więc drapaniu w gardle, bólowi gardła, katarowi i kaszlowi.

Wystarczy jedno posiedzenie w pokoju, odpowiednio urządzone, a w którym kilka osób może jednocześnie wdychać ów gaz rozcieńczony, aby pozbyć się powyższych dolegliwości.

Sposób leczenia kataru i początków zaziębienia gazem tym, tak się już rozpowszechnił w Ameryce, że

nie tylko stosowany jest w klinikach i lecznicach, ale także w domach prywatnych zapomocą przenośnych aparatów.

Według obliczeń lekarzy amerykańskich

75 procent chorych, leczonych tą metodą, odzyskuje natychmiast zdrowie, 20 procent doznaje ulgi znacznej, a tylko 5 procent, cierpiących przeważnie na zaburzenia chroniczne dróg oddechowych, nie doznaje ulgi.

Działanie nowego lekarstwa da się wytłumaczyć w ten sposób, że większość t. zw. zaziębień powstaje wskutek działania bakterii, wywołujących stan zapalny błon śluzowych nosa, gardła i krtani, rozcieńczony zaś gaz chlorowy zabija owe bakterie,

nie szkodzić organizmowi ludzkiemu. Oczywiście gaz ten działa tylko na łatwo dostępne, wierzchnie warstwy błon śluzowych,

nie jest więc skuteczny przeciwko głęboko osadzonym w tkankach bakteriom chorobotwórczym, jak na przykład przy gruźlicy.

W każdym razie znaleziono środek szybki i skuteczny, przynajmniej przeciwko katarowi.

Warjat przy zdrowych zmysłach.

Tragiczny los egipskiego księcia.

Paryski dziennik „Quotidien” donosi, że brat obecnego króla Egiptu Fuada I

od 22 lat znajduje się w pewnym londyńskim domu obłąkanych.

Jeżeli dać wiarę doniesieniom paryskiego dziennika, to nieszczęśliwy

Achmed Seifeiddin bynajmniej nie jest warjatem, ale został zamknięty do zakładu dla obłąkanych jako ofiara spisku.

Przyjaciele nieszczęsnego dokładają usiłowań, aby wydobyć z domu warjatów biedaka, którego za wybrak młodzieńcy wtroczone do tego straszego więzienia.

Książę Achmed Seifeiddin jest potomkiem słynnego bojownika o wolność Ibrahima i drugim synem Mehmeda Ali. Książę Seifeiddin przed 22 laty dokonał zamachu na Fuada, obecnego króla Egiptu.

Dlaczego podniósł rękę na brata, to pozostało dotychczas tajemnicą, zdaje się jednak, że

motywem jego czynu była jakaś historia miłosna.

Po zamachu Achmeda aresztowano. Rozprawa sądowa jego budziła swego czasu zainteresowanie w całym świecie. Ostatecznie oskarżony został skazany na 7 lat więzienia.

Tę karę złagodzono później na 4 lata więzienia. Jednakowoż po odsiedzeniu tych 4 lat książę nie odzyskał wolności, natomiast przewieziono go pod surową kontrolą do Londynu. Tutaj książę został poddany badaniu dwóch psychia-

trów, którzy go ogłosił za niepo-

czalnego. Na podstawie tego orzeczenia, umieszczono Achmeda w domu obłąkanych, pomimo, że rozpatrzenie przeciwko temu gwałtownie protestował. I od 20 lat przebywa książę wśród warjatów — żywy trup, o którym oprócz matki i kilku przyjaciół cały świat zapomniał.

W ciągu tych 20 lat wszystko się w Egipcie zmieniło. Z mgławic wielkiej wojny wyrósł się nowy wójt Egiptu, a Fuad jest jego królem. Matka księcia mieszka w Konstantynopolu.

Co miesiąc prawie staruszka interwenjuje w sprawie syna w gmachu ambasady angielskiej. Dwaj przyjaciele, z których jeden mieszka w Turcji, drugi w Londynie, starają się usilnie o wydobyć księcia z więzienia.

Jeden z nich, znany finansista z Konstantynopola, dotarł do Kemala-Paszy, prosząc go o interwencję w tej sprawie. Drugi wystosował kilka tuzinów podań do ministra spraw wewnętrznych. Wszystko napróżno.

Na ulicach jednego z przedmieść londyńskich przechodnie widzą prawie codziennie małe zamknięte auto. Okna samochodu są przesłonięte, obok szofera siedzi sanitariusz, a wewnątrz w ciemnym wozie brat króla Egiptu. Ta przejażdżka w samochodzie jest jedyną pozostałością dawnej swobody.

Ale nawet w samochodzie książę jest tak strzeżony, iż wszelka próba ucieczki staje się niepodobni-

Humor złodziejski.

Z Barcelony donoszą o fakcie, świadczącym, że złodzieje hiszpańscy są ludźmi nie tylko zręcznymi w swym fachu, ale także dowcipniami, zdolnymi rozbawiać przez swe koncepty.

Jedno z największych hiszpańskich towarzystw ubezpieczenia przeciw wypadkom kradzieży, mającej swą siedzibę w Barcelonie, znane jest z tego, że reklamuje się w iście amerykański sposób. Między innymi np. umieściło kilka tygodni temu na specjalnym rusztowaniu, wystawionem w najruchliwszej dzielnicy miasta, olbrzymi transparent — wieczorami oświe-

tlany od wewnątrz elektrycznym światłem — z ogłoszeniem o bajecznie niskich kosztach, jakie zapewnienia osobom, które się w niem ubezpieczają.

Parę dni temu transparent zniknął i coś się pokazało? Został jasny dzień skradziony przez złodziei, których policja wzięła za łudzi, przysłanych przez towarzystwo celem usunięcia reklamowego transparentu, czemu przypatrzywały się także tłumy ciekawych.

Rzecz prosta, że niefortunne towarzystwo ubezpieczenia przeciw wypadkom kradzieży stało się obecnie pośmiewiskiem Barcelony.

JACK LONDON.

Schwytyany.

(Dalszy ciąg).

Moja amerykańska krew zaczęła się gotować. Miałem w rodzinie wielu amerykańskich przodków. Walczyli oni mężnie i nieugięcie o przywilej sądownictwa wszystkich spraw ważnych przez sąd przysięgłych. To był mój święty spadek. Moi przodkowie przelewali krew za tę sprawę; teraz zaś moja było rzeczą obstawiać twarde przy tych prawach. — Dobrze, rzekłem sobie, poczekaj na tylko, niech na mnie przyjdzie kolej.

Doszło i do mnie. Moje nazwisko, tak jak brzmiało wówczas, zostało wywołane. Wstałem. Wójt sądowy rzekł: — Włóczęgostwo, wasza wysokość, — i wtedy zabrałem głos. Lecz sędzia momentalnie przerwał mi i rzekł: — Jeden miesiąc. — Chciałem protestować, ale Jego Wysokość wywołał już następne nazwisko. Jego Wysokość zatrzymał się tylko przez małą sekundę, przez którą zdążył mi powiedzieć: — Trzymaj głowę! — W następnej chwili już inny włóczęga otrzymał swój miesiąc, a potem znów następny.

Gdy już wszyscy otrzymali swoją porcję — każdy po miesiącu — i Jego Wysokość chciał już nas odesłać, zwrócił się jeszcze do woźnicy, do tego jednego, któremu pozwolił być mówić.

— Dlaczego przestał pan pracować? — spytał Jego Wysokość.

Woźnica opowiadał już przede mną, że stracił zajęcie, to też pytaniem tem został raskoczony.

— Wasza Wysokość — zaczął — czy nie jest to osobliwe pytanie? —

— Jeszcze jeden miesiąc za to, że pan opuścił swą pracę — powiedział Jego Wysokość i na tem skończyło się posiedzenie sądu. Taki więc był rezultat; woźnica dostał dwa miesiące więzienia, a my po jednym.

Byłem zupełnie zdetonowany. Zostałem osadzony na podstawie tej głupiej farsy — przesłuchania. Wszak mnie, wolnego obywatela, mógł skazać tylko sąd przysięgłych, a tymczasem zostało mi nawet odjęte prawo usprawiedliwienia się. Przypomniało mi się jeszcze coś, co wywalczyli moi przodkowie, prawo: Habeas corpus. Już ja im pokażę! Lecz gdy zaadałem adwokata — wysłano mnie. Prawo: Habeas corpus, było wspaniałe, ale nie mogło mi się przydać; wszak z nikim nie byłam w styczności, tylko z woźnicą z wielkiej firmy w New - Yorku.

Ale ja im pokażę. Przecież nie będą mnie tu trzymali do końca życia. Poczekajcie, niech no stąd wyjdę! Znam przepisy i moje własne prawa. Pokażę światu, jak prawo zostało znieważone. Wzię procesów i sensacyjnych nagłówków, w gazetach tańczyły mi przed oczyma, gdy wtem przyszedł woźny i przeprowadził nas do głównego biura.

Jakiś policjant założył mi ręce kajdanki na prawą rękę. (Aha! pomyślałem, nowy wstyd. Poczekajcie tylko, niech będę znów wolny!). Do moich kajdanek były tańczącem przymocowane inne, które zostały umieszczone na lewej ręce jakiegoś murzyna. Murzyn był olbrzymem, miał sześć stóp wysokości; gdy staliśmy obok siebie, jego ręka w kajdankach podnosiła moją rękę w górę. Był to

najmilszy i najbardziej obdarty murzyn, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Skuto wszystkich nas parami. Następnie przyniesiono żelazną sztabę, włożono ją w kółka między kajdankami i na obu końcach zamknęto. Wszyscy teraz tworzyliśmy podwójny skutny szereg. Został wydany rozkaz wymarszu, i wyszliśmy na ulicę, strzeżeni przez dwóch policjantów. Wielki murzyn i ja zajmowaliśmy miejsce honorowe; prowadziliśmy bowiem całą procesję.

Po grobowej ciemności więzienia słońce oślepiło poprostu nas. Jeszcze nigdy nie wydawało mi się słońce tak piękne, jak wówczas, gdy szedłem, pobrzekując kajdankami. Wiedziałem, że nie ujrzę jego promieni przez cały miesiąc. Szliśmy w stronę dworca przez ulicę miasteczka Niagary, oglądani przez ciekawych przechodniów.

Pobrzekując kajdankami, usadowiliśmy się w przedziale dla palących. Mimo to, że byłem podminowany nienawiścią za wyrządzone mi wstyd, byłem zbyt praktyczny i prozaiczny, aby upaść na duchu. Wszystko było dla mnie nowością. Przedemną leżało 30 dni, okrytych tajemniczą zasłoną; rozejrzałem się za kimś, koby mógł mi udzielić wyjaśnień. Dowiedziałem się, że miejscem naszego przeznaczenia jest nie małe więzienie, ale wielka twierdza, w której kilka tysięcy więźniów odsiaduje karę od 10 dni do 10 lat.

Za mną siedział czworokanciasty, ocieślał człowiek o potężnej muskulaturze. Mógł on mieć 35 — 40 lat. Obejrzałem go dokładnie. W kącikach jego oczu ujrzałem blaskający humor, śmiech i przyjaźń. Zresztą zaś wyglądał jak

brutalne silne zwierzę. Tylko te kąciki oczu pełne humoru — wyróżniły go w moim pojęciu.

To był człowiek w moim guście. Potrafiłem mu się przypodobać. Podczas gdy pociąg jechał dalej w stronę Buffalo, a mój towarzysz, wielki murzyn, skarżył się na brak bielizny, którą zgubił przed aresztowaniem, zacząłem rozmawiać z człowiekiem siedzącym za mną.

Fajka jego była pusta. Napchałem ją własnym tytoniem. Była ona tak wielka, że z tego tytoniu mógłbym sobie skrócić tuzin papierosów. Im dłużej z nim mówiłem, tem bardziej przekonywałem się, że to jest człowiek, którego szukałem. W dalszym więc ciągu dzieliłem się z nim moim tytoniem. Umysł mój jest tak gietki, że potrafię zastosować się do każdego położenia. Stałem się przypodobać temu człowiekowi, chociaż nie miałem jeszcze pojęcia, jakie to będzie miało dla mnie znaczenie. Tej twierdzy, do której jechaliśmy, nie znał on dotychczas; ale siedział już kilka lat w innych fortach i znał wszystko cudownie. Zaprzyjaźniłem się i serce moje zadrżało z radości, gdy poradził mi, abym go zawsze naśladował. Nazywał mnie Jackiem.

Na jakiejś stacji, oddalonej mniej więcej o 5 mil od Buffalo, pociąg zatrzymał się, a my, niewolnicy w kajdankach, wysiedliśmy. Nie wiem już dziś, jak ta stacja się nazywa. Jestem jednak przekonany, że to było coś w górze: Rocklyn, Rockwood, Block Rock, Rockcastle lub Newcastle. Bez względu na brzmienie tej nazwy, musieliśmy jeszcze kawałek przejść pieszo, a potem wsiadliśmy do tramwaju. Stary wagon, o dwóch dużych ławkach po obu

stronach. Pasażerowie zostali poproszeni o zajęcie jednej ławki, a drugą my zajęliśmy z wielkim łaskiem i brzękiem kajdanów. Jak sobie przypominam, siedzieliśmy akurat naprzeciw pasażerów, widząc jeszcze przerażone twarze kobiet, biorących nas za morderców i bandytów. Mój sąsiad, wośły murzyn, przewracał oczami, śmiał się i wzdychał: „O, Boże! O, Boże!”

Po wyjściu z tramwaju musieliśmy przejść pieszo kawałek drogi i w końcu dostaliśmy się do twierdzy, Grief-County. Tam znów zostaliśmy zapisani; przypuszczam, że do dziś w skorowidzu tego więzienia można znaleźć moje nazwisko. Powiedziano nam, że musimy w kancelarii zostawić wszystkie nasze wartościowe przedmioty: pieniądze, tyton, zapalki, szczyrki i t. p.

Mój nowy przyjaciel spojrzał na mnie i wstrząsnął głową.

— O ile nie zostawicie tu waszych rzeczy, będą wam odebrane w więzieniu — rzekł urzędnik.

Mój przyjaciel kiwał tylko głową. Manipulował coś za plecami innych więźniów tak, aby urzędnik tego nie zauważył. Zdjęto nam kajdanki. Patrzyłem uważnie na jego czynności i w ten sam sposób zawiązałem w chusteczce wszystko to, co chciałem zabrać ze sobą do więzienia. Tymoczek wsadziłem tak, jak on za kosze. Zauważyłem, że nikt nic nie oddał urzędnikowi, za wyjątkiem tych, którzy mieli zegarki. Sądziłem, że uda im się jakoś te rzeczy wkłócić do więzienia, ale zdali się na szczęście losu; nie byli tak mądry, jak mój przyjaciel i nie zwalniali rzeczy razem.

(Dalszy ciąg nastąpi).